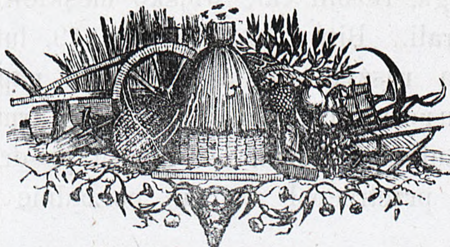
Tom XIV. Nr. 17.

11. czerwca 1866.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

POWSTANIE POLSKIE W ROKU 1831.

VI. Dalsze bitwy.

Po owej bitwie wielkiej pod Grochowem, o której wam ostatnim razem opowiadałem, obrany został naczelnym wodzem polskiego wojska jenerał Skrzynecki. Nie był to już taki dzielny i zdolny jenerał jak Chłopicki, ale jeszcze rzeczy dobrze stały, i można było dać sobie z Moskalami radę. Po bitwie grochowskiej było kilka dni pokoju, bo Moskal, jak już wziął dobre cięgi, więc jeno lizał się i czekał, a nasi też odpoczywali.

Ale nie długo dali odpoczywać Moskalom Polacy. Pierwszy jenerał Dwernicki, zuch nad zuchy, chwat nad chwaty, rozpoczął z nimi dziarski taniec na nowo. Zaraz po owej sławnej bitwie pod Stoczkiem, gdzie to ten jenerał skropił jak się należy Moskali i tak szczęśliwy zrobił początek — pociągnął Dwernicki na moskiewskiego jenerała Krajca, który nadchodził z swem wojskiem, i dotarł go pod Nową wsią.

Zaraz też kazał jenerał Dwernicki po swojemu ułanom i krakusom uderzyć na Moskala, a chłopcy ci wpadli jak błyskawica na wroga, rozbili całe wojsko moskiewskie jak czerep i 11 armat zabrali. Bitwa ta była dnia 19. lutego. Poczekawszy dni kilka ruszył jenerał Dwernicki naprzód, trafił na Moskali pod Kurowem, pobił ich i dwie armaty odebrał, a idąc dalej do Lublina, dopadł ich znowu po drodze pod Markuszowem, przetrzepał znowu porządnie i dwie znowu armaty zdobył.

Moskale nauczeni dobrze, czem to pachnie zejść się z jenerałem Dwernickim, wymijali go już potem ostrożnie i nieśmieli zachodzić mu drogi.

Następnie podzielili Moskale swą siłę na mniejsze części i poczęła się wszędzie bitwa, w której prawie zawsze Polacy byli górą. Jenerałowie polscy Rybiński, Umiński, Kamiński podrywali, gdzie mogli, Moskala, który też znowu przy końcu marca wziął porządnie w skórę pod Dębem, choć był kilkakroć silniejszy, niż nasi. Jenerał moskiewski Rozen, który wziął po grzbiecie pod Dębem, umykał, co miał tehu, a nasi ułani pędzili go i trzepali, co się wlazło. Gdzie też tylko nasi ułani dopadli Moskali, tam ich jak naprzykład pod Kałuszynem zawsze srodze potłukli, tak że podczas tej rejterady jenerała Rozena w przeciągu dwóch dni było Moskali rannych i zabitych 15 tysięcy a cztery tysiące dostało się tego tałałajstwa do niewoli.

Tak nadeszła wiosna. Jenerał Prądzyński swymi ułanami przeczesał znowu Moskali porządnie pod Domaniewiczmi, a potem przytarł ich pod Iganiami, gdzie stoczył z nimi dzielną bitwę. Moskale wzięli tu znowu po skórze, padło ich około 3000, a drugie 3000 i trzy armaty zabrali Polacy. W bitwie tej padło także trzech moskiewskich pułkowników, a trzech dostało się do niewoli. Było jeszcze kilka innych potyczek w których nasi zwyciężyli — a tymczasem zaszedł bardzo ważny wypadek.

Oto na Litwie, który to kraj od dawnych wieków należał do Polski, wybuchło powstanie przeciw Moskalom. Litwini, ród dzielny i waleczny, zawsze byli dobrymi Polakami, więc

też i teraz chwycili za broń, aby przyjść swoim braciom w pomoc i wypędzić Moskalów z swojej ziemi. Powstanie Litwinów wybuchło było jeszcze w marcu. Nie miało to biedactwo nawet dobrej broni, jeno kto mógł chwytał za kosę lub jaką strzelbinę a prażył w imię Boże Moskala. Rozlecieli się też Litwini po lasach i po górach i robili wycieczki na wroga — a ile tam tych dzielnych Polaków poległo za ojczyznę, to tylko Pan Bóg policzył w niebie.

Źle się bardzo stało, że biedakom Litwinom nie posłano zaraz na pomoc trochę wojska, ale już to w całej tej wojnie nie jedno źle się działo, bo inaczej nie byliby Polacy nigdy przegrali, bo byli waleczniejsi i bitniejsi od Moskali. Ale cóż z tego, że żołnierz się dobrze bije, jeżeli kierunek cały zły. Tak też było podówczas i w Polsce.

Kiedy tak stoją rzeczy, dano jenerałowi Dwernickiemu nakaz, aby maszerował do Wołynia na Moskali. Dwernicki mając ledwie 5000 wojska pod sobą, ruszył zaraz w drogę i wnet 11. kwietnia pobił Moskali pod Poryckiem. Wkroczył zaś jenerał Dwernicki na Wołyń dlatego, że miało tam także wybuchnąć powstanie między ludem przeciw Moskalom, ale że powstanie to jakoś się zwlekało, a Moskali była ogromna siła, więc Dwernicki nie mógł, jakby był chciał, posuwać się w głąb kraju, ale trzymał się tuż przy granicy austryackiej. Dnia 16. kwietnia stanął jenerał Dwernicki w samo południe pod Boremlem. W kilka dni wyszedł na niego jenerał moskiewski Rydygier z wielką siłą. Ale jenerał Dwernicki nie pytał o to, że Moskali jak maku, rzucił się z swem wojskiem na nich i dnia 19. kwietnia pobił armię moskiewską jak to mówią, na łeb, na szyję. Moskale pobici uciekli coprędzej, a było ich trzy razy więcej niż naszych. Polacy zabrali im ośm armat, a w bitwie poległ także jeden jenerał moskiewski.

Ale choć tak walecznie spisał się jenerał Dwernicki, nie pomogło już to wiele, bo Moskali coraz większa siła na niego nachodziła. Powstanie wołyńskie, na które Polacy rachowali wybuchło wprawdzie, ale już za późno, bo Moskwy moc ogromna się zwaliła. Tymczasem nikt nie szedł Dwernickiemu na pomoc, a on ledwie cztery tysiące miał już żołnierza. Nie było

innej rady, jak tylko cofać się ku granicy austryackiej, to jest ku Galicyi. Uczynił też tak Dwernicki i stanął na samej granicy.

Jenerał moskiewski Rydygier zebrał tymczasem kilkanaście tysięcy wojska i 50 armat i szedł na Dwernickiego, który i czwartej części tego wojska nie miał. Ale mimo to stanął Dwernicki gotów do boju i oparłszy się o las nad granicą czekał na Moskala. Ale Moskal, zdrajca podły, bał się uderzyć na niego z przodu, choć było czterech a nawet pięciu Moskali na jednego Polaka, jeno przekroczył granicę austryacką, choć to nie było wolno, bo Austrya była neutralnem państwem, to jest nie mięszała się do niczego. Tak zaszli Moskale zdradziecko i przeciw wszelkim prawom wojennym z tyłu Dwernickiego. Dwernicki widząc się obsaczonym do koła, musiał się cofnąć i przejść do Galicyi, na ziemię austryacką.

Skoro nasi przeszli już na ziemię do Austryi należącą, przestali zaraz strzelać, bo szanowali obcą granicę, jak na uczciwe wojsko przystało, ale Moskale jak rozbójniki strzelali za nimi i pędzili, tak że aż austryackim huzarom, co pilnowali granicy, było tego za wiele i dopiero Moskalom drogę zagrodzili.

I tak stał się ten smutny wypadek, że jenerał Dwernicki, co najdzielniej się spisywał i najlepiej bił Moskali, musiał schronić się za austryacką granicę. Była to pierwsza, ciężka klęska dla Polaków, bo nietylko że stracili jednego z najlepszych jenerałów, ale jeszcze i reszta na duchu upadła, bo i żołnierze polscy i lud mówili sobie z smutkiem:

— Oj źle to, źle, że już nie ma naszego Dwernickiego! Kto nam za takiego chwata stanie!

Skoro tylko Dwernicki z swą garstką stanął w Galicyi, zaraz go Austryacy rozbroili. Żołnierzom poodbierano broń i porozsełano pod strażą po miastach.

Tymczasem wojna w Polsce wrzała ciągle. Jenerał polski Romarino zniósł ze szczętem całą moskiewską brygadę pod Firlejem i zabrał Moskalom 500 niewolnika, a jenerał Chrzanowski pobił znowu daleko liczniejszego wroga pod Le-

wartowem, gdzie bitwa przez pięć godzin trwała. Tam to jedna kompania polskich żołnierzy, w której było coś około sto ludzi, zamknęła się w klasztorze i tak się dzielnie broniła, że cała armia moskiewska nie mogła jej dać długo rady. Moskale myśleli, że w tym klasztorze jest kilka tysięcy wojska polskiego — cóż to więc była za hańba dla Moskali, gdy się pokazało, że wszystkich Polaków ledwie stu było!

Dalej znowu jenerał polski Umiński, który spieszył na pomoc Litwie, napadnięty został przez Moskali pod Jędrzejowem i pobił też Moskali tęgo. Po tych małych bitwach i utarczkach przyszło dnia 26. maja do wielkiej i krwawej bardzo bitwy pod Ostrołęką. Była to prawie największa batalia w całej wojnie. Walczyła w niej cała armia moskiewska i polska. Bitwa była strasznie zacięta, nasi bili się z cudowną walecznością, choć nie mieli armat, podczas gdy Moskale i więcej żołnierza i dużo armat posiadali. Okropny był przelew krwi po obu stronach. Gdy się bitwa skończyła, pokazało się, że ani moskale ani nasi nie wygrali. Moskale nawet stracili więcej niż Polacy, bo Moskali padło w tej bitwie zabitych i rannych 15 tysięcy, naszych wszystkich ubyło tylko 7 tysięcy. Poległo w tej bitwie, która naszym mimo waleczności nie przyniosła korzyści jeno stratę, także dwaj dzielni polscy jenerałowie Kicki i Kamiński. Odznaczył się tu w boju świetnie polski jenerał Bem.

Powrót konia.

Kurz się drogą bałwani
Świat tumany ciemnią;
Jadą, jadą ułani
Sandomierską ziemią.

Białe na nich wyłogi:
Dyć to pułk nam znany!
„A gdzież Jonek z Ożogi?
„Gdzie brat nasz kochany?

„Wszyscy święci Anieli!
„Cały pułk już minął!
„Gdzieście brata podzieli?“
— Zginął — rzekli — zginął!

A w tem znowu ktoś jedzie
Dwóch ułanów czesze,
Jeden konia z nich wiedzie,
Drugi ognia krzesze.

Koń się potknął przed górką,
Zarzał, urwał wodze,
I poleciał po drodze,
Co wyskoku w podwórko!

„O dla Boga, dla Boga!
„Skądże to go macie?
„Wszak to konik z ożoga,
„Konik po mym bracie!

„Oj sierota już chata
„Kiedy on zabity,
„Gdzieżeś podział mi brata
„Koniu jabłkowity?"

A obadwa ułani
W podwórko przybyli,
I obadwa stroskani
Na dziewkę patrzyli.

— „Zatrzymajcie go sobie
„Nikt go wam nie bierze,
„Oj wasz Jonek już w grobie
„To jego szkaplerze!

„Jam je zabrał w szczerości,
„Bo legł od Moskala,
„A tych naszych świętości
„Niech Moskal nie kala!

„Może moje szkaplerze
„Da tam kto ojcowi —
„No bywajcie nam zdrowi!
„Niech was Bóg tu strzeże!"

Janusz.

O zamorskich zwierzętach.

(Opowiadanie pana Walentego.)

Pewnego wieczora w kilka dni potem, kiedy to pan Walenty opowiadał Wojtusiowi o gazach i balonach, siedzieli sobie znowu ojciec i syn przed chatą. Wojtuś tak się odezwał:

— Prosił bym też tatusia, żeby mi znowu coś ciekawego opowiedział, bo mi się tamto, com już słyszał, bardzo podobało!

— A o czemże chcesz, abym ci opowiadał?

— Tatuś mi raz wspominał, że tam w ciepłych krajach są dziwne rozmaite ptaki i zwierzęta, których u nas nie ma, otóż ja radbym coś dowiedzieć się o nich.

— No, poczekajże, więc najprzód opiszę ci najmądrzejszego ptaka z ciepłych krajów, który się zowie papuga.

Ma ona dziób krótki a gruby i z góry na dół zakrzywiony; łeb szeroki i z góry spłaszczony, a oczka bardzo zmyślne; nogi u papugi są grube, mięsiste i do wspinania się po

drzewach bardzo przydatne; kolor ich piór jest nadzwyczaj rozmaity, a często z najświetniejszych barw złożony: zielone, złocisto błyszczące, czerwone, czarne, szare, żółte, białe i Bóg wie jakie tam jeszcze na nich piórka bywają. Bardzo sprytnie i poważnie łazi i wiesza się papuga po gałęziach drzew, żywi się ziarnami, owocami i różnemi innemi rzeczami, łapy swej bardzo często niby ręki używając. Krzyczy mocno i przeraźliwie, ma atoli wielką łatwość wymawiania ludzkich wyrazów tak, że oswojoną papugę nie trudno to i owo gadać nauczyć, choć jušci sama wtedy nie rozumie co plecie. Dlatego to mówią o człowieku, co plecie koszałki opałki lub cudze rzeczy powtarza, że gada jak papuga.

Najpyszniejszym ptakiem zagranicznym jest ptak rajski, dla swoich pięknych piórek niby z raju pochodzący. Nie bywa on większy od drozda, ale ma niektóre pióra nad skrzydłami i u ogona takie długie i powiewne, a jak jedwab miękkie, iż się o wiele większym wydaje. Barwa piór jest przeważnie brunatna, głowa, szyja i łopatki żółte, a czoło i podgarle złocisto zielone. Żyją te ptaki na niektórych wyspach Australii, a pożywieniem ich są różne jagody, choć i za motylami chętnie się uganiają. Ptak rajski ma zwyczaje do kruka podobne, kracze też podobnie do kruka, albo krzyczy jak szpak. Trafi się nieraz, że gdy ptak rajski leci a wiatr jest mocny, to mu tak owe długie pióra poplącze i zawikła, że nie może dalej lecieć i spada na ziemię. Chwytają go wtenczas tamtejsi ludzie, a zastawiają mu także i lep dla jego pięknych piórek.

A teraz, żeby była trójka, opowiem ci o największym ptaku, który się struś zowie. Ma on wysokie nogi i długą szyję, bywa przeto od trzech do czterech łokci wysoki; główkę ma zaś maleńką i zupełnie łysą, a przy niej dziób do gęsiego podobny. Skrzydła u strusia są tak króciutkie, że niemi latać nie może: biega więc po ziemi na grubych i mocnych nogach, skrzydełkami sobie w biegu pomagając. Pierze na strusiu białe, a osobliwie śliczne są wielkie pióra w ogonie i skrzydłach, miękkie i powiewne, jak śnieg białe, niektóre z czarnym czubkiem lub brzeżkiem.

Żyją te strusie w Afryce i w Arabii, a żywią się trawą, zbożem i różnemi owocami, połykają zaś często kamyczki, kawałki żelaza i tym podobne rzeczy, które im do utarcia pożywienia w ich mocnym żołądku są potrzebne. Gnieżdżą się i składają jaja w piasku, a jajo strusie to nielada, bo jest przynajmniej tak wielkie jak głowa dwuletniego dziecka, a skorupa na niem tak twarda, że robią z niej różne kubki i czarki do picia.

Z powodu swych bielutkich a powiewnych piór, za które dobrze płacą, polują często Murzyni i Arabowie na strusia; a śmieszne to polowanie, bo nie potrzeba doń ani strzelby, ani żadnej innej broni prócz drążka z ciężkiego drzewa, lub długiego sznurka z ołowianemi kulkami na końcu. Otóż wybierając się na strusia dosiada łowiec tęgiego konia, i skoro tylko owego ptaka w piasczystej pustyni wytropi, tak dalejże za nim co koń wyskoczy, i musi gonić tak długo dopóki struś się nie zmęczy i nie zwolni szybkiego biegu; wtedy popędzasz konia i dobiegłszy na kilkadziesiąt kroków z tyłu, rzucasz sznurem z owemi kulkami, które, gdy dobrze trafione, zaraz się trusiowi koło szyi lub koło nóg okręcając, w biegu go zatrzymują. Inny sposób jest ten, że zabiegasz strusiowi nagle z boku i ciężkim drążkiem uderzasz go po łysej głowie, która jest bardzo słaba; jakoż po jednem uderzeniu pada struś nieżywy.

Skończywszy o ptakach zagranicznych, poprawił pan Walenty ogień we fajeczce i tak się odezwał:

— Powiedziałem ci o największym z ptaków; posłuchajże więc teraz o słoniu, który jest największym ze zwierząt czworonożnych. Słoń, niezgrabnie zbudowany i szarą krótką sierścią pokryty, ma nogi grube jak kłody z wielkiemi równemi paznokciami, uszy wielkie i kłapciaste, zamiast nosa ryjak długi, czyli trąbę, którą sobie wszystko ze ziemi podejmuje i chcąc żreć gałęzie drzew nagina, a z pyska wystają mu dwa kły ogromne, do góry wygięte, któremi broniąc się uderza i wszystko przebija. Ze swej natury i budowy dadzą się słonie najwięcej do naszego wieprza przyrównać, tylko że są kilka

razy tak duże, a żyją w ciepłych krajach, najwięcej w Indyach i w Afryce.

Teraz zaś posłuchaj, jak tu jest polowanie na słonia opisane.

To rzekłszy otworzył pan rymarz książeczkę, przerzucił kilka kartek i tak jął czytać:

„Już cały miesiąc albo i dwa przed rozpoczęciem polowania, ogradzają Indyanie wielki kawał kraju pomiędzy lasami kokosowemi, i kopią w środku sadzawkę, gdzie się woda zbiera. Do ogrodzenia używają mocnych pali, które się w ziemię wbija, sznurami mocuje, i dopiero gałęziami nakrywa, żeby pale zpod onych nie wyglądały. Droga, która do ogrodzenia prowadzi, bywa zwykle w różne strony kręta, a tylko o tyle szeroka, żeby nią słoń wygodnie mógł biegnąć; zaś obok tych dróg są jeszcze inne wązkie ścieżki dla ludzi, gdzie już słoń zmieścić się nie może. Oprócz tego są jeszcze wewnątrz różne mniejsze przegrody, a z drugiej strony prosta i wygodna droga, którą już związanego słonia wyprowadzają.

Skoro to wszystko jest już gotowe, natenczas zbiera się z sąsiednich okolic wielka liczba ludzi, między temi kobiety i dzieci z bębnami, trąbkami i innemi hałaśliwemi narzędziami. Ta gromada okrąża lasy ze wszech stron i zaczyna straszyć, nie przestając i nocą, w czasie której pochodniami wśród zarośli sobie przyświecają. Trzeba atoli wiedzieć, że już kilka dni przedtem obsadzono ludźmi wszystkie strumyki i bajora w lesie, a ci nie przypuszczają do nich żadnego słonia, tak, że one w końcu pragnieniem i trwogą przed napastującą gromadą przejęte, zbiegają się na drodze, wiodącej do owego ogrodzonego miejsca, gdzie jest zupełnie cicho. Przybiegłszy do wchodu, miarkują często po płocie, że to jakaś zasadzka i chcą się nawracać; lecz nie ma już czasu do tego, bo ludzie tuż, tuż za niemi z niesłychanym brzękiem i hałasem. Wpadają więc wązką dróżyną aż w środek ogrodzenia, gdzie już jest woda i miejsca podostatkiem, a wtedy dopiero, zagnawszy tam i ułaskawionych słoniów, zawalają Indyanie wchód główny, zostawiając tylko wolno owe ścieżeczki dla ludzi, gdzie się słoń w żaden sposób pomieścić nie może. Temi ścieżkami

podchodzą teraz łowcy aż do samego środka i tam starają się słoniów pojedyńczo do pomniejszych przegród zapędzać, gdzie każdemu z osobna sznury na szyję i na nogi zarzucają, a skrępowanego jak się należy wyprowadzają drugą stroną, i do pni mocnych na wolnem polu przywiązują. Przy tej pracy bywa człowiekowi łaskawy słoń bardzo pomocnym; bo gdy tylko ujrzy że jego braciszek dziki rzuca się lub zapiera, wtedy przypada zaraz i tak długo dzikiego swoją trąbą bije, dopóki się tenże zupełnie nie uspokoi.“

Przestał czytać na chwilę pan Walenty, a Wojtuś zapytał:

— Mój tatusiu, i dużo to słoniów naraz łapią w taki sposób?

— Różnie mój chłopcze — rzecze pan rymarz — po sto sztuk, a czasem po stokilkadziesiąt i więcej.

— I do czegoż to potem używają tych słoniów, czy na mięso?

— Nie mój Wojtku, mięso by było za twarde, lecz używają słonia do dźwigania ciężarów, bo jest bardzo silny, używają go nawet tamte narody do wojny, stawiając na nim wieżyczkę, gdzie kilku wojowników się mieści, i doskonale ztamtąd nacierać może. Zresztą do polowania i innych usług da się łatwo włożyć. Mają też potemu słonie wiele sprytu i zręczności: wiesz już, że biorą najprzód pożywienie trąbą i dopiero do pyska kładą; lecz nieraz trafi się i tak wyuczony, który sobie potrafi butelkę z winem otworzyć, a potem wziąwszy trąbą przewraca ją szyjką do pyska i pije. Jak więc słonie są straszne w swojej dzikości, tak znowu po ułaskawieniu mają z nich ludzie nie jeden pożytek, zwłaszcza że i chodowanie nie wiele kosztuje, bo się najwięcej liściami z drzew niektórych żywią, a zresztą i inne ludzkie potrawy chętnie zjadają.

Podobnym nieco z budowy do słonia zwierzęciem jest nosorożec, od tego nazwany, że ma róg na nosie, którym napadając uderza. Dziki ten zwierz jest odziany brunatno-szarą, rogową skórą, która jest tak gruba i twarda, iż ją żadna kula nie przebije. Straszny on jest i zaciekły w swych napadach, gdzie wszystko rozbija i niszczy, co mu tylko na zawadzie

stoi. Żyje on w południowej Afryce i w Indyach, a żre tylko same rośliny.

Polowanie na nosorożca nie jest zbyt trudne, ale trzeba sobie w tem rozsądnie postępować. Owoż bacząc, że nosorożec ma słuch i węch bardzo dobrzy, zaś wzrok dość tępy, trzeba doń zawsze pod wiatr się zbliżać a z wszelką cichością, żeby nie zwietrzył ani usłyszał. Podstąpiwszy w ten sposób blisko, należy na cel brać oko, gdyż tu tylko kula ugrzęźnie. Jeżeli zaś strzelisz i chybisz, lub draśniesz gdzie po skórze, a potwór się zerwie i skoczy na ciebie: wtedy jedynym ratunkiem jest, w bok na kilkadziesiąt kroków pod wiatr odskoczyć, bo nosorożec tę ma naturę, że zamrużywszy oczy i łeb na dół spuściwszy, wprost tylko biegnie na nic nie pytając. Umknął więc już w ten sposób nie jeden od niechybnej śmierci.

— Proszę taty, ale nosorożec nie jest tak wielki jak słoń? — zapytał Wojtuś.

— Jest trochę mniejszy i niższy od słonia.

— Więc słoń jest najwyższym ze wszystkich zwierząt czworonożnych? — zagadnął znowu chłopiec.

— Słoń jest największym — odparł pan Walenty — ale nie najwyższym. Wyższą od niego jest żyrafa, choć to zresztą małe i słabe stworzenko.

— Mój tatusiu, a jakże wygląda żyrafa?

— Żyrafa należy do tego rodzaju zwierząt co i koń, to jest ma kopyta i głowę bardzo do konia podobną, ale zresztą dziwne tam jest wszystko. Bo tak: nogi ma wysokie, a przednie wyższe od tylnych, tułów dość szczupły i nie dłuższy nad trzy do półczwarta łokcia, a zato szyja także do czterech łokci długa, a u jej wierzchu końska głowa z uszami jak u osła i nie wielkie rogi. Mierząc więc z przodu od kopyt aż do końca rogów, jest żyrafa na ośm lub dziewięć łokci wysoka, musisz wię dobrze głowy zadzierać, żeby jej w oczy zajrzeć. Z tem wszystkiem piękne jest to zwierzę, a łakome dla strzelca dlatego, że je okrywa śliczne futro żółtawo szare z kanciatemi brunatnemi cętkami. Żyrafa żyje we wschodnich i południowych stronach Afryki, a żywi się trawą, ziołami różnemi i liśćmi; najlepiej atoli smakują jej czubałki niektórych drzew

młodych, które juści przy swojej wysokości z łatwością może obgryzać. Smieszna jest rzecz widzieć jak to zwierzę biegnie, musi bowiem to naprzód to wtył szyją swą przegina, którać mu w biegu waży i równowagę odbiera. Że zaś ma nogi wysokie, więc kroki stawia wielkie, i tak choć szybko nie lecąc, przecie się dobrze naprzód posuwa.

— Proszę tatusia, ale żyrafa nie jest taka mądra i sprytna jak słoń? — zapytał Wojtuś.

— Nie jest ona wprawdzie taka mądra jak słoń — odrzecze pan rymarz — ale zawsze dwina i pożyteczna. Zresztą są i od słonia mądrzejsze zwierzęta, a najmądrzejszą jest małpa.

— To niechże mi tatuś jeszcze co o małpie opowie! — zawołał chłopiec.

— Ho, ho, mój Wojtku, ty mię dziś zmordujesz — prawi pan rymarz z uśmiechem. Ale ciekawy chłopiec chwycił za rękę i dalejże całować i prosić:

— Mój tatusiu złoty, jeszcze też tylko o małpie!

Więc pan Walenty nie mogąc się już oprzeć naleganiom syna tak jął dalej prawić:

— Małp jest bardzo wiele gatunków, a wszystkie żyją w owych ciepłych krajach. Mają one z przodu ręce, a z tyłu zamiast nóg także ręce, morda u nich dość płaska i najczęściej włosami nie pokryta, uszy zupełnie takie same jak u człowieka, a że też potrafią niektóre na tylnych rękach prosto chodzić, więc jest największe podobieństwo tych zwierząt do ludzi. Nie umiałbym ci opowiedzieć o wszystkich gatunkach małp, z których jedne są z ogonami, drugie bez ogonów, jedne z długiemi przedniemi rękami drugie z krótkiemi: lecz powiem ci o jednym gatunku małpy, o której najwięcej słyszałem, a którą orangutanem zowią.

Orangutany, osobliwie też te, co w Afrycy po lasach się chowają, są bardzo podobne do człowieka, a objawiają najwięcej sprytu i pojętności. Ciało ich okrywa włos rzadki czarny lub brunatny, najbujniejszy na głowie i na krzyżach, twarz i dłonie zupełnie nagie, oczy ludzkie i bardzo sprytne. Wyrosłe orangutany są tak wysokie jak człowiek, czasami i

wyższe, a najczęściej grubsze; mocne są bardzo, tak, że i dziesięciu ludzi jednemu nie da rady, spinają się zręcznie po drzewach i biegają dobrze na dwóch tylnych łapach.

Różne ciekawe rzeczy opowiadają żeglarze o tych małpach. Raz złapali taką małpę żywcem i wzięli ją ze sobą na okręt, więc się wnet do ludzi przyzwyczaiła. Jakoż siadała razem do stołu i jadła porządnie łyżką, wino umiała też dobrze łykać, otworzywszy wprzód flaszkę i nalawszy do szklanki, jak się należy. Jeżeli jej co dać nie chcieli to krzyczała i płakała jak dziecko, a w złości nawet biła kijem, choć najczęściej dość była potulną. Gdy okręt wpłynął już w zimniejsze okolice, natenczas małpie przyzwyczajonej do gorącego słońca zaczęło być zimno: kradła więc żeglarzom różną przyodziewkę i okrywała się tem starannie. Jadła wszystko co jej tylko dano: najchętniej różne owoce i słodkie rzeczy, mleko, kawę, słodką wódkę, a co najmniej to mięso. Wszystkie małpy przywiązują się bardzo do swoich młodych, a karmiąc własną piersią, pieszczą je jak najczulsze matki. Jeżeli młode przypadkiem się skaleczy, to matka krzyczy przeraźliwie, niesie do wody i obmywa ranę starannie. Pewien myśliwy strzelił był raz do małpy, co uciekała z młodym na rękach, i trafił ją w serce; małpa czując, że wnet żyć przestanie z największą trudnością wysadziła jeszcze swoje maleństwo na gałęź, żeby uciekało, a sama padła nieżywa. Tak to wszechmocny Stwórca obdarzył miłością rodzicielską i nieme zwierzęta, i dał im stopniowo sprytu i rozumu po troszę, aż dopiero swoim duchem napełnił człowieka, który nad wszystkie stworzenie ziemskie jest wyniesiony. Żadno też ze źwierząt nie posiada mowy tylko jeden człowiek; małpy choć tak sprytne i rozumne nie umieją mówić, zkąd też murzyni bają, że orangutany, to są ludzie z obcych stron, którzy dlatego nic nie mówią, żeby ich do roboty nie napędzono.

Wojtuś był niezmiernie uradowany tą ciekawą historyą o małpach, co widząc ojciec, tak się odezwał.

— Jak uważam, nie myśli nam coś matka zastawić obiadu, choć to już południe. Więc żeby nie pamiętać na to że człowiek głodny, przeczytam ci co jeszcze z tej książki.

Wojtuś podskoczył aż z radości, a pan rymarz odłożywszy fajkę na bok w ten sens czytał z książki:

„Najstraszniejszemi zwierzętami drapieżnemi są tygrys i lew. Oba należą do gatunku kotów, ale są wielkie, niezmiernie mocne i krwi chciwe.“

„Tygrys będzie półtora łokcia wysoki a półtrzecia długi, głowę ma okrągławą, okryty siercią krótką czerwonawo-żółtą, przez którą od grzbietu na dół czarne pasy idą, spodem zaś jest biały. Żyje w Azyi, a szczególniej w Indyach, napada i rozdziera ludzi i słabsze od siebie zwierzęta.“

„Nie mało zajmującem jest polowanie na tygrysa, na to tak niesłychanie drapieżne zwierzę. Ponieważ zaś brałem udział w takiem polowaniu, więc rad je opowiem.

„Było nas siedmiu w jednej o odludnych wiosek indyjskich, gdyśmy nagle zasłyszeli, że w okolicy tygrysy wielkie szkody czynią. Młoda krew i odważna, więc nie długo myśląc postanowiliśmy wyruszyć na te potwory. Jakoż wybraliśmy siedm słoniów, na każdym z nich siadł jeden z nas pośrodku, a wziąwszy jeszcze przed siebie przewodnika Indyanina, za sobą zaś służącego, do tego dobre fuzye i inną broń, ruszyliśmy w drogę. Wesoła była podróż; przewodnik krótkim dzirytem kierował słonia, a tu i owdzie przelatywały śliczne ptaki lub dzikie kozy w niesłychanym pędzie. Tak przybyliśmy do samotnego sioła, zarośniętego gęstemi krzakami i i bujnem zielskiem, które służyły tylko za kryjówkę jadowitym wężom i innym gadom obrzydłym. Zaledwie znaleźliśmy wązką dróżynę, wiodącą przez ciemny las i owe zarośla do sioła. Kilku z nas musiało nawet zsiąść z słoni, bo trudno się było przedrzeć, aż wreszcie stanęliśmy na miejcu.“

„Dwanaście morgów ornego gruntu i kilka chałup, oto cała osada! Z nieufnością i ponurem wejrzeniem przyjęli nas mieszkańce; lecz gdy się dowiedzieli pocośmy przyjechali, zaraz nam byli chętniejsi, zwłaszcza że świeży a straszny wypadek z tygrysem mocno ich zatrwożył. Oto w nocy przed naszem przybyciem wpadł tygrys do jednej z chat, i rozszarpał najpoważniejszego starca w osadzie. Na krzyk przeraźliwy ocknęli się ludzie, przypadają do zagrody starca, a tu tygrys

rozdziera właśnie siwą jeno głowę. Nie było już dla staruszka ratunku! więc ludzie zapierają czemprędzej chatę wraz z tygrysem, i postanawiają zabić potworne to zwierzę. Lecz jakże strzelać, którędy? Chyba z dachu wyjąwszy trochę słomy. Wyłazi więc jeden z młodych na dach, zczerniały od starości, lecz niestety, zaledwie stanął u szczytu, załamują się pod nim krokwie, sypie się słoma i młody Indyanin wpada do środka! Przerażenie ogarnęło wszystkich, bo znowu świeża zdobycz dla krwiożerczego zwierzęcia: lecz nagle płomień ogarnął całą chatę, gdyż słoma wpadła do środka od płonącego kaganka się zapaliła. Rozpaczliwy krzyk Indyanina i straszny ryk tygrysa ozwały się we środku; ratunek wszelki był daremny, tygrys przywalony belką nie mógł się ruszyć. Gdy więc po krótkim czasie resztki już dogorywały, wyciągnięto ze zgliszczów okropne zwęglałe szczątki dwóch ludzi i tygrysa. Owoż więc wypadek ten straszny przyczynił się znacznie do tego, żeśmy przyjaźnie przyjęci byli przez miejscowych ludzi.“

„Nie zabawiliśmy tu długo; wywiedziawszy się o miejsce, gdzie zwykle tygrysy przesiadują, puściliśmy się ku rzece z dala już błyszczącej, nad którą gęsty bór szumiał. Umyśliliśmy dojść do rzeki, tam słonie nasze wykąpać i chwilę odpocząć; lecz zaledwo zbliżyliśmy i się pod las, gdy nagle słonie trąby w górę podniosły i mocno zaczęły tupać przedniemi nogami, lecz szły odważnie naprzód. „Tygrys jest w bliskości! — zawołał mój przewodnik — strzelaj pan tam, gdzie ta wysoka trawa się kołysze.“ Podniósłem strzelbę, wtem tygrys wychylił się z trawy; strzeliłem, mój sąsiad strzelił także lecz obaśmy spudłowali, a tygrys odwrócił się, zniknął w lesie, i słyszeliśmy tylko mocny plusk wody. Pospieszyliśmy, i ujrzeliśmy tygrysa na środku rzeki, jak płynął ku drugiemu brzegowi. W ślad za tygrysem i myśmy rzekę przepłynęli, nie widzieliśmy go już atoli na drugim brzegu; skrył się gdzieś między zarośla, z pomiędzy których postanowiliśmy go wypłoszyć. Niezadługo wytropiliśmy go, a otoczywszy do koła nie dozwoliliśmy mu już ucieknąć. Rzucił się więc ku mnie i chciał właśnie potężnym skokiem chwycić słonia za garło, gdy go tenże w tej chwili tak zręcznie na swe kły naszpikował,

że tygrys odurzony i bez głosu pozostał na ziemi. Słoń zaś nie zadowolony jeszcze tą zemstą, stąpił na niego swemi ciężkiemi nogami i tak roztratował, że trudno potem było nawet poznać, że to tygrys, takie wspaniałe zwierzę.“

„Zaledwo słoń mój dokonał swego dzielnego zwycięztwa, a myśmy w dalszą drogę ruszyli, gdy się coś w mojem siodle zerwało, i gwoli naprawy zatrzymaliśmy się chwilkę w dali za naszemi towarzyszami podróży. Wnet było wszystko naprawione, i właśnie chcieliśmy dalej pospieszać, gdy nagle ozwał się straszny ryk, a zaczem zdołaliśmy chwycić za strzelbę, rzucił się świeży tygrys, jeszcze większy od poprzedniego na mojego słonia. Zręczniejszy od tamtego ominął kły słonia i wbiwszy mu swe straszne pazury w garło, tak mocno piersi się uczepił, że słoń z jękiem padł na ziemię. Strach nas ogarnął; przewodnik spadł pierwszy, a tak niszczęśliwie, że obalający się słoń nakrył go swojem cielskiem i rozgniótł; my dwaj odlecieliśmy dalej i jakoś dziwnym trafem bez uszkodzenia. Słoń z tygrysem pasowali się tymczasem w śmiertelnej walce, a my nie mogąc iść z pomocą naszemu wiernemu słoniowi, biegliśmy czemprędzej w stronę, gdzie znikli nasi towarzysze. Jakież było ich zadziwienie, gdy nas ujrzeli dwóch i pieszo; pokrótce opowiedzieliśmy im cały wypadek, i wszyscy nawrócili na miejsce straszliwej walki. Przybywszy, strzeliliśmy razem do tygrysa; kilka kul przeszyło go: zaryczał okropnie i upadł nieżywy. Zbliżyliśmy się do słonia: był strasznie poraniony i garło zupełnie rozdarte, jakoż po niedługiej chwili nie żył już także. Przewodnik leżał pod nim bez duszy mocno pognieciony. Ścisnęły się nam serca na ten widok, a ja nie mogłem się najdłużej opędzić żalowi za poczciwym przewodnikiem i odważnym słoniem.“

Przestał czytać pan Walenty, a Wojtuś ocierał łzy z oczu, tak go ta historya dziwnie rozrzewniła.

Grześ z Mogiły.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.